

dodatek • ABC • niedzielny

Maria Rutkowska

Autem do Nieba

Znak glocknerowski na szybie samochodu jest jednym z licznych wrażeń każdego snoba - automobilisty.

Angielski Ford moich angielskich przyjaciół nosi już na sobie dwie etykiety w rudej obwódecie, niczym sygnet z duplikatem.

— Jestem wierny Glocknerowi mimo „Auschlusu” — stwierdza mister L. z patosem.

— A cóż Anschluss ma do Alp? — Obawiam się, że aż nadto wiele. — dorzuca mój Anglik z odrobiną zjadliwości. Przekonamy się po drodze.

W PRZYDROŻNYM GASTHAUSIE

Pędzimy przez mgłę poranku. Z równej drogi, od Dölsach unoszą nas serpentyny. Wielka dolina Dranu leży już w dole, zatopiona w słońcu. Rozciąga się na kilometry.

Przydrożny gasthaus taki, jakich setki spotyka się wzdłuż dróg Karyntii. Zielone żaluzje i kwiaty w oknach. Izba pachnie piwem i lśnią bielą obrusów.

Frühstick zajadamy z apetytem. Myślę przez chwilę o tym, że wędrując przez Polskę z swymi cudzoziemskimi przyjaciółmi musiałabym ich skazać na przymusową kurację odchudzającą. Ktoś, kto zdołałby doprowadzić polskie karczmy do stanu „strawnej używalności” miałby przed potonnością zasługę większą niż twórca kolejki na Kasprowy.

Syci na ciele, a spragnieni i oczekujący obiecanych duchowych emocyj zapadamy w miękkie objęcia Forda. Słońce zostaje

Kiedy wychodzimy z auta aby kupić owoce, ogarnia nas żar upalnego dnia, jakby to było jeszcze lato. Owoce leżą na straganach wielkie i zachęcające. Brzoskwinie i pomidory są rozgrzane słońcem i całe rozpiękują się w sok.

— Dość już tych przyziemnych zainteresowań, moje panie! — przerywa nagle owocową kontemplację p. L. — Kilka sekund i staniami u wrót Grossglockner-hochalpenstrasse!

U WRÓT ROZKOSZY I NIEBEZPIECZEŃSTWA

Z Heiligenblut skręć w prawo. Wiraż w górę nad doliną raz i drugi. Nagle mały domek przy drodze i uroczą para tyrolską wychodzi nam na spotkanie.

— Auto stop! Stajemy. Cóż robić, Grossglocknerhochalpenstrasse każe sobie płacić „myto” za swoje cuda. Po 4 marki od osoby. Znak glocknerowski „dla osoby”, nalepka dla auta. Z dołu nadjeżdżają inne maszyny i zatrzymują się za nami w kolejce do „mautgebühre”.

— A teraz, naprzód! W ramionach piękna i niebezpieczeństwa. — woła z nieangielskim etniczizmem mister L.

WODA SIE GOTUJE!

Ford pnie się w górę, pracując ciężko. Dyszy na drugim biegu. Chwilami musi się dźwigać na pierwszym biegu.

Co kilkaset metrów przy drodze napisy: „Wasserdienst”

le był przecież upał.

Niesione wiatrem nadlatują ku nam dźwięki z gór. Cicho jednostajnie dzwonią dzwonki, uwieszone u szyi krów, pasących się na zboczu.

— I - ha - o - ho - i - ha!

Gdzieś daleko nawałują się śpiewnie jodlowaniem pastuchy. Wiatr przegrywa te górskie melodie i znosi już przemienione po swojemu hen w dół, ku dolinie...

S. O. S. GÓRSKIE

Wzdłuż drogi co pewien czas stoja budki górskich telefonów. Na każdym napisy objaśniające w czterech językach. Każdy tury-

stom, żadnych leśnych parawanów. Z prawej strony nagie zbocze, z lewej — przepaść. Wyżej, coraż wyżej. Taśma szora zwija się nieustannie serpentyną. Auta, pędzące po niej są jak cienką nitką przyczepione do ścian skalistych. Jeden nieopanowany ruch kierowcy... i rozwarta paszcza kamiennej bezdennej czeluści.

Na zakrętach raz po raz słychać sygnały. Długim echem odbijają się od skał. Z góry i w górę ciągle jadą auta...

LODOWIEC GLOCKNERA

Gardziel wawozu zwięza się



Franz Josefs Höhe — nad lodowcem.

sta, posiadający kluczyk od górskiego telefonu może się nim posługiwać. Alpejskie S.O.S.

Droga nie ma już teraz żadnych

raptownie. Góra z drugiej strony przepaści zbliża się ku nam. Chmury, rozdzielając się o skaliste wierzchołki, przesuwały się

Józef Piłchiewicz

Do poezji polskiej

Oto triumfalnym wierszem turkoce na bruku wóz,
pocatunki blasku na stawie, jak rymy,
dźwięczy wśród wody złoto,
dźwięki zaciera szmer tóż —
od tóż wiatr dymy. —

Poczjo,
jakie Twe Imię?

Ze strychu po spróchniałej drabinie
zeszła otulona łajemnicą noc.
Odepchnęła moje sny od oczu,
tylko jeszcze myśli się mienią,
wysadzając razem z sercem moc.

Poczjo,
święta niewolnico,
krzyżowana liryką chwil.
Już nawyłot mnie zapął przeświecił!
Rozumiem!

Upraszczano twój nurt kolorowy
drzew jednostajnym szumem,
kazano się Tobie uśmiechać
zmysłowymi wargami kobiet,
duszono Cię w każdym wierszu
zapachem astrów i lilij!

Oto jestem na Twoim pogrzebie,
rece opieram na sile —

— Krzyczę:
Kwiaty, mówcie po polsku!
Niech szelest drzew się zapadnie
w wilgotnej od tęsknoty ziemi,
niech z niej młodość oczami zaświeci
i wiatr porznie na karzącym rzemień!
Pościnąć te lilie i astry!
W oberek rozprysnąć rosę!
Niech, jak pięścią, poczja uderzy —
eposem!

Zrozumcie, że wieczność żyje
na każdej kościelnej wieży,
że słońce wschodzi Ojczyzną!

Biegnę,
biegnę duszny liryką wieczornych wyznań.
Niech te słowa w echa werblem uderzą,
niech rozejdą się, jak sny apostołskie!

Poczjo, klękam przed Tobą, bo wierzę,
że będzie w Polsce jeszcze więcej Polskil



Serpentynami pniemy się w górę...

nad nami. Chłód wieje od szarych masywów nagich i groźnych.

W głębi, w ramionach wyniosłych skał leży lodowiec Glocknera.

Sznur aut przed nami staje się niemal zwarty. Samochody wolno pełzną jeden za drugim.

Szary jak góry dookoła stoi Glocknerhaus. Przed nim posturunek żanadrmerii alpejskiej. Na szarych mundurach wyszyty znak glocknerowski. Regulują ruch. W szeregu innych zatrzymuje się nasz Ford.

„Dlaczego ten postój? — pytam łowarzysza.

Anglik siedzi sztywno. Nie usłyszał mego pytania. Czekając, wpatrzony w żandarma. Ostatni wóz przed nami rusza. Za chwilę z zakrętu wysuwa się auto, jadące z góry i mija nas. Nadeszła nasza kolej.

Anglik naciska starter. Celebruje start w skupieniu. Ale auto nie rusza. Żandarm daje znak ponownie. Z tyłu trąbią w zdenerwowaniu inne auta. A Ford stoi i ani rusz. Mister L. dostaje wypieków i kiedy wreszcie ruszamy, tłumaczy przez zacisnięte zęby:

— Zmarzł! — Udaję, że nie widziałam prawdy. Przejęty starterem „celebrans” startował z zamkniętym motorem. Glockner zabija nawet „angielską flegmę”.

U SZCZYTU

Na wąskiej serpentynie mijają się wozy: jeden w dół, drugi w górę. Ostre wiraje i szczyt — wysokość: 2431 m.

Plac na Franz Josefs Höhe zatłoczony. Tłok aut. Mrowie ludzi. Mieszanina: alpinści w ciężkich butach z plecakami i damy szczegółnie zębami przy wysiadananiu z aut, w lekkich sukienkach.

Wiatr miota flagami wszystkich państw dumnie rozpiętymi na masztach. Wiatr smaga twarze. Depczemy po śniegu.

Po zboczu, na lodowcu, rozciągają się teraz u naszych stóp, obsuwa się nieustannie ciemna lawina ludzka. Jakby szarańcza obśiadła górę. Schodzimy razem z innymi, po oślizgłych kamieniach, zlodowaciałej ziemi.

Ludzie gramolą się z trudem. Jakaś nieszczęśliwa Francuzeczka wykrywia rozpaczliwie chude nożyny na francuskich obcasach. Jakaś zażywna para wspiera się, stając co pięć kroków.

— Einbahn! Einbahn! — wykrzykuje tuż koło nas wesół młody dzieńec w alpejskiej czapeczce, steroczącej filuturnie na blond włosach.

— Einbahn! — podchwytywają inni dookoła i szeregi ludzkie suną przez pewien czas we wzorowym porządku — jedną stroną do góry, drugą na dół.

Prater, czy Alpy? — zadaje sobie pytanie Białe - błękitny lodo-

wiec, ogromny i cichy służy teraz uciesze hałaśliwych tłumów.

ANSCHLUSS W ALPACH

Jadąc na Edelweisspitze część drogi wracamy w dół. Ogarnia nas przejmująca rozkosz pędu, zapierającego oddech, pędu w niebezpieczeństwo.

Potem jedziemy już szosą po łagodniejszej, rozległej płaszczyźnie. Przemarznięci, rozgrzewamy się kieliszkiem białej i wonnej „Kirchwasser” w Jaussenstation, gdzie o szyby i w drzwi łomocze szalejący wiatr.

Za długim tunelem, lśniącem kaflowymi ścianami i rzędami lamp droga znowu pnie się szczytami. Znowu wiraż i przepaść. Dzień, nagie ściany gór. I wreszcie za ostatnim, najtrudniejszym i najwęższym zakrętem najwyższe wzniesienie na trasie — Edelweisspitze: 2577 metrów.

— No i cóż? — pyta mnie mój angielski towarzysz. — Jakie wyniki poanschlusowych obserwacji? Auta zagraniczne, poza moim, moglibyśmy z całej drogi wyliczyć na palcach. Niewiele dawnych wielbicieli Grossglocknerhochalpenstrasse mogłoby strawić spokojnie ten widok — wskazuje mi ręką. Na tle nieba łopocze flaga ze swastyką. Dwóch bronzowych S. A. reguluje ruch na szczycie.

Istotnie. Na całej trasie minęło nas wiele aut ze znakami państw obcych (w tym jedna polska „pchełka” wspinająca się zuchwale na wszystkie wzniesienia). Ale przecież drogi roły się od aut. To Rzesza zorganizowała „na jazd pocieszenia” samotnikom górów Austrii.

DIABELSKI WYŚCIG

Wracamy. Motor zamknięty. Spadamy bez szmeru. Działa tylko hamulec. W Angliki budzi się rasowy sportowiec. Patrzac przed siebie, z zacisniętymi ustami mija jeden za drugim wszystkie wozy, dotąd jadące przed nami. Na którymś zakręcie rozpoczyna się diabelski wyścig z Horchem. Siedziemy nieruchomo, milcząc, zrośnięci z maszyną. Setka. Ciągłe wiraje. Horch pędzi. Ale w Horchu siedzi okrągłolicy Niemiec. Nie narazi karku dla sportu. To hazard o własne głowy, taki wyścig na alpejskich serpentynach. I nagle jednym śmielszym wyciągnięciem maszyny, podstępem, bez sygnału, mijamy wspaniałego Horcha.

Przed nami droga do Zell am See. Za nami ośnieżone szczyty. W uszach szumi nam jeszcze wiatr. Twarze mamy ogorzałe na braz. Przed oczyma majaczą najpiękniejsze obrazy dzikiego, jedyne w surowej, swej mocy i grozie piękna. Piękna nagich gór.



Nad przepaścią...

za nami. Otwiera się górski las. — Achtung! Steinstracke!

HEILIGENBLUT

I znowu z chłodu i cienia wypadamy w jasną dolinę. Znowu płynnie potok szeroki cały w srebrnej pianie, tocząc po kamieniach wody koloru opalu i seledynu.

Gdzieś w głębi na tle nieba jaskrawą białością znaczy się pierwszy śnieżny szczyt. Ale góry wzdłuż doliny są jeszcze zielone, wesole. Z ich zboczy odrywają się raz poraz spienione kaskady. Spadają, rozpryskując się w krople, jak w pył srebrzysty.

Przed nami miasteczko. Wietrzyczka kościółka. Heiligenblut. Słońce grzeje coraz mocniej.

Przy małych źródełkach zielono malowane kubki. Wyjeżdżamy z lasu na szeroką przestrzeń. Wieje już chłodny wiatr. Zbocza są nagie, bezleśne. Na lewo, z pośród gór widnieją już bliżej ośnieżone szczyty.

Zjeżdżamy z szosy na miejsce postoju. Obok nas inne wozy. Kolejka do Wasserdienstu.

Mister L. podnosi maskę. Nagłym strumieniem bucha w górę woda. Zagotowała się. Najwyższy czas na zatrzymanie.

Z dołu nadjeżdżają wciąż nowe auta. Zbliżają się, sapiąc, z podniesionymi do góry maskami. Ze zdumieniem obserwuję damy, zakutane w grube futra. Tam na do